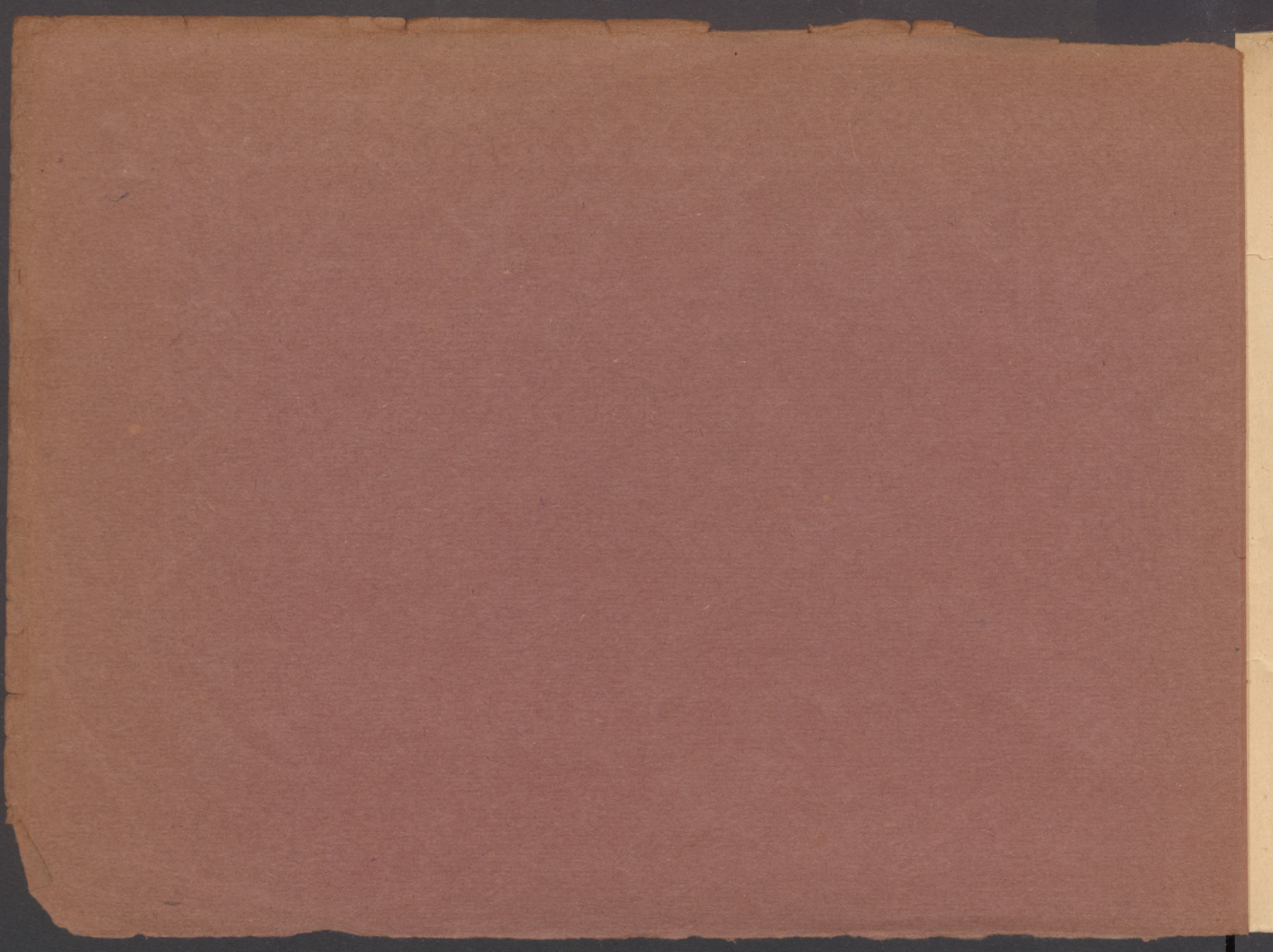


P O L S K A



W ROKU 1914/15

WJ.

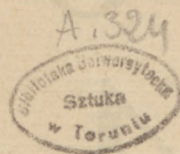


ZESZYT 1 // // // // POBOJOWISKO

POLSKA
W R O K U
1914 / 15

WARSZAWA // // // E. WENDE & SKA

Za zezwoleniem wojennej cenzury.
Warszawa, 7 stycznia 1915 roku.



ZAKŁ. GRAF. B. WIERZBICKI i S-ka, WARSZAWA, CHMIELNA 61.

POBOJOWISKO

W szary, jesienny dzień wybraliśmy się na zwiedzanie pobojowisk.

Po gałęziach drzew przydrożnych wiatr szumi przeciągle i uderza w twarz kroplami deszczu, jak gradem szpilek kłujących. Bryczka grzęźnie po osie w kożuch rozpущonego na miazgę błota, które przykryło całą, tak zwaną szosę. Jedziemy krok za krokiem i co chwila zapadamy się we wnętrza jakichś potwornych, wyboistych kałuż, które zostawiają nam po sobie kawały lepkiej gliny.

Dokoła nas ciągną żołnierze, jedni w tę, drudzy w tamtą stronę. W szarych szynelach wynurzają się niespodziewanie z pośród szarego lasu i przepadają znowu w jego głębinie. Od czasu do czasu zjawia się na drodze sylweta oficera na koniu z głową osłoniętą kapturem i płaszczem zarzuconym na ramionach.

Niekiedy dostajemy się pomiędzy wyciągnięte szeregi wozów, powózek i najrozmaitszych części taborów. Długi ich szereg przesuwa się z trudnością. Konie ustają co chwila. Nagle któreś z tych zmęczonych zwierząt zaczyna chwiać się na nogach i z oczyma pokrytymi bielmem śmierci, wolno prze-

wraca się na ziemię, targając uprząż. Ludzie patrzą na to ze spokojnym sceptycyzmem—stają, zapalają papierosa, rozmawiają chwilę, potem biorą się do roboty. Za kilka minut opuchłe ścierwo końskie z wyciągniętymi sztywno nogami leży na skraju drogi. Potem słychać tylko krótki świst bata i wóz posuwa się dalej.

Cielska padłych koni spotyka się coraz częściej. Krążą nad nimi w ponurych korowodach stada gawronów, albo pilnują ich bandy bezpańskich, zdziczałych kundysów o błyszczących oczach i krwawych paszczekach. Nikt im nie przeszkadza w ucicie. Nie zwracając uwagi na tuż obok przechodzących, kilku uderzeniami kłów wyostrzonych przecinają z niebywałą wprawą skórę na brzuchu końskim i ze spokojem wytrawnych smakoszków zanurzają się rytmicznie w okropnej otchłani.

Deszcz siecze ciągle to z jednej, to z drugiej strony. Chwilami wiatr ucicha zupełnie — wydaje się, że zbiera siły, aby uderzyć w nowym paroksyzmie wściekłości.

Po kilku wiorstach męczącej drogi mijamy las i zjeżdżamy z szosy na równą, trzy razy szerszą

od poprzedniej drogi, po której bryczka nasza toczy się szybko.

Jest to droga, którą ubiły kopyta koni kawalerskich, wygniotły koła armatnie i udeptały nogi wielu tysięcy żołnierzy. Tędy cofano się, tędy ściganono nieprzyjaciela, który o kilkanaście wiorst ztąd uchodził w popłochu.

Nowa droga przecina wązkie, długie płuzy chłopskie: ścierniska, podorywki albo pola niewykopanych kartofli. To znowu biegnie długo po wielkich, szerokich łanach dworskich, a potem omija łukiem zabudowania, wsie całe i wreszcie wpada jak w zator, w wąwóz pomiędzy dwiema wyniosłościami...

Na tej drodze po raz pierwszy spotykamy mieszańców tych okolic. Są to zgarbione postacie chłopów i dziewcząt, otulonych płachtami i uzbrojonych w motyki, które z trudem rozkopują ujeżdżoną drogę, aby wyrwać z jej wnętrza choć trochę kartofli, tego jedyne go dobytku żałosnych nędzarzy.

Dojeżdżamy do pierwszej wsi, która gorzała już w krwawym pożarze wojny. Zdaleka widać okaleczone rumowisko kościoła, zbombardowanego pociskami ciężkich dział nieprzyjacielskich. Zostały tylko dwie ściany podziurawione szrapnelami, porozbijane granatami. Na szczycie jednej z nich ocalał krzyż pozłacany, który widać daleko z każdej strony. Za

lada podmuchem wiatru sypią się zewząd połupane kawałki cegieł, długie płaty tynku i spadają z łoskotem na wielkie, bezkształtne rumowisko, podobne zdaleka do mogiły. Zaraz za kościołem po lewej stronie widać wyciętą aleję modrzewiową. Olbrzymie drzewa leżą równolegle obok siebie tak, jakby ktoś poukładał przy sobie zwłoki potwornych rozmiarów. Ich wspaniałe konary, pełne przepysznej piękna, rozpostarły wiotkie gałęzie na ziemi. Każdy przechodzień, który omija wyboistą drogę, depce je bezlitośnie, każdy wóz obryzguje brudną, cuchnącą wodą z przydrożnej kałuży. Znikła bez śladu ich bujna, soczysta zieloność—leżą zgniecione i sponiewierane, tylko kilku ocalałych towarzyszków szumi ponuro nad ich głowami.

W ogrodzie dworskim można obejrzyć dokładnie wszelkie ślady pocisków armatnich najrozmaitszego kalibru i gatunku. Drzewa potrzaskane, pokaleczone, podziurawione na wylot stoją z pogruchotanymi konarami, albo podcięte u samych korzeni padły na olbrzymie doły ziemi, jakby cyrklem wykreślone, jednym uderzeniem granata wyrwane. Gdziekolwiek te ślady straszliwej siły wybuchowej stały się przypadkowymi mogiłami, w których zasypiano ziemią po kilkunastu nieboszczyków. Zdobią te miejsca skromne krzyże z dwóch patyków, najczęściej sznurkiem związanych.

Dwór zniszczony zupełnie. Ganek na słupkach wygląda jak kaleka, który chwieje się na nogach i niepodtrzymywany przez nikogo straci resztę sił i runie na ziemię. Okna tam i owdzie pozabijane deskami przez żołnierzy, którzy tu nocowali. Reszta o potłuczonych szybach i ramach wyrwanych z zawiasami pozwala zajrzeć do środka, gdzie z każdego kąta wieje pustka i zniszczenie. Ze ścian pozdzierano pasy tapet, z podłóg oderwano tafle posadzki—tylko gdzieś tam mebel połamany z pogruchotanymi nogami świadczy o lepszej przeszłości. W jednym z pokojów stoi fortepian, który zwraca moją uwagę. Wszystkie struny są pozrywane, a czarne klawisze powycinane zostały z zadziwiającą systematycznością.

Dokoła dworu, na drodze i trawnikach walają się stare książki, podarte na strzępy ryciny, sztychy wartościowe. Wszystko to zmieszane jest razem, zsiekane deszczem, zdeptane ciężkimi żołnierskimi butami, poprzebijane na wylot kopytami końskimi. Wiele mebli znajduje się w okopach, które ciągną się długą linią przed dworem w ogrodzie i biegną dalej polem buraczanem. Tu i w pobliskiej okolicy znajdowałem niejednokrotnie w okopach i wałach ziemnych charakterystyczne dla niedawnej epoki meble mahoniowe i jesionowe, które dziś jeszcze nadają polskim dworom niezatarte piętno przeszłości. Zna-

lazła się tu nawet zupełnie dobrze zachowana, pięknie rzeźbiona poręcz kanapy w stylu Louis Philippe, której użyto, jako podpory przy sypaniu szańców, osłaniających żołnierzy od kul szrapnelowych.

Począwszy od tego miejsca, gdzie pomiędzy kupami gruzu sterczą dwie walące się ściany parafialnego kościoła, jedzie się pomiędzy polami, porytymi okopami, pomiędzy wsiami i osadami niegdyś ludnymi, z których ani jedna nie pozostała chąta. Widzi się lasy zniszczone pociskami, wyrąbaną młodzież, zgliszcza dworów, stajni, stodoł i spichrzów, widzi się połamane narzędzia rolnicze, zboże niewymłócone, gnijące na drogach, sterty i stogi porozwalane i porozciągane z powrotem podczas drugiego żniwa w okopach nieprzyjacielskich. Pola zasiane, świeżą runią oziminy pokryte, są zjawiskiem najzupełniej niespodziewanem. Na ludnych niegdyś drogach rzadko spotyka się kogokolwiek, oprócz wojska. Czasami tylko zaturkocze drabiniasty wóz chłopski, zaprzężony w mizerne chabety i przemyka się trwożliwie bocznymi drogami.

Ludzie zniknęli gdzieś bez śladu. Jedzie się nieraz długo wśród pól, na których zamarło wszelkie życie. Ani jeden pług nie orze tej ziemi urodzajnej, ani jeden siewca, nie rzuca w jej łono ziarna. Zgliszcza chałup stoją opuszczone wśród pól samotnych—otoczone drzewami, których czarne,

opalone gałęzie sterczą, jak ręce błagalnie ku niebu wyciągnięte.

Czasami tylko przejeżdżając drogą słyszy się niespodziewanie płacz dzieci i głosy ludzkie, wychodzące z pod ziemi. To jacyś mieszkańcy wsi spalonej kryją się przed słońcem po dołach, wygrzebanych naprędce, albo szałasach, sklepionych z kilku od pożaru ocalałych desek...

W różnych miejscowościach zwiedzałem okopy. Zostały one wszędzie jako żałobna pamiątka dla wszystkich właścicieli spalonych dworów i zniszczonej ziemi, zostały jako żywe wspomnienie tych chwil, o których mówi się:

— Niechby już nigdy nie wróciły.

Najciekawszy widok przedstawiają one tam, gdzie na pozycjach najdalej wysuniętych walka trwała przez długi czas.

Są to nieraz prawdziwe miasta podziemne, warownie niewidoczne zdaleka, połączone ze sobą rozległą komunikacją, która pozwala doskonale, bez zwrócenia uwagi wroga, podprowadzać do boju świeże siły i wycofywać zużyte. Wielkie, na kilka wiorst ciągnące się rowy, a raczej kurytarze podziemne, biegnące po polach wężowymi skrętami, przecinające się ze sobą nawzajem, łączą linię ognia z rezerwami, prowadzą do schronisk wydrążonych gdzieś jak jaskinie. Czasami te linie długie

i różnorodne zbiegają się w jednym punkcie, jak nici w jednej ręce.

Jest to widocznie miejsce, gdzie znajdował się dowódca kierujący bitwą. Kiedy patrzyłem na te miejsca ze szczytu większej wyniosłości miałem wrażenie, że przyglądam się jakiemuś olbrzymiemu, podziemnemu kretowisku, które kataklizm potworny ukazał na powierzchni ziemi.

Bezludne, opustoszałe, stygmatem ciszy śmiertelnej napiętnowane okopy wrzynają się między pola uprawne, ryją się po ścierniskach, których nikt nie miał czasu zorać, przebiegają przez łąki bujne, kryją się po parowach, pełzną pod mostami i wreszcie wpadają gdzieś w ciemną gęstwinę lasu. Jedne z nich oznaczają walkę, drugie odwrót, umocniony szybko przez pionierów naprzód wysłanych. W niektórych armia rosyjska po wyparciu przeciwnika okopała się ze strony przeciwnej i nadała im kształt pozornie dziwaczny i niezrozumiały. Strzelano widocznie z transzeji, opierając karabiny na zasłonach, broniących przedtem głów żołnierzy od kul karabinowych. Gdzieś widać małe dołki, rzędem długim biegnące. Wykopali je kilku uderzeniami łopaty żołnierze atakujący, zmieniający swoje pozycje, pracy naprzód. Na krótką chwilę przypadli do ziemi, aby niebawem podnieść się znowu i z bagnetem w rękę uderzyć na osłabionego i zdemoralizowanego przeciwnika.

Daleko za blindażami, starannie zbudowanymi z gałęzi, pokrytych darnią, widać okopy artyleryjskie. Jedno, drugie, trzecie i czwarte półkole...

To znaczy jedna baterja. Dalej druga. Za nimi stanowiska jaszczków podobne z kształtu, ale mniej kunsztownie wykonane.

Widziałem z bliska taką pozycję „wymacaną“ przez artylerję rosyjską. Była poprostu poryta dookoła straszliwemi uderzeniami granatów, które opasały ją śmiertelnem kołem. Jeden z pocisków spowodował widocznie wybuch jaszczyka. Skorupy eksplodujących szrapneli usiały pole tak gęsto, że cała przestrzeń lśniła się w promieniach słońca połykiem stali. Pogruhotany w drzazgi jaszczyk stał wbity w ziemię, oparty o jedno koło, zasypyany mo siężnemi gilzami, które potworna siła wybuchu poskręcała w najrozmaitsze fantastyczne kształty. Z boku leżał pokryty do piersi ziemią trup kanoniera austriackiego w szarym szynelu, z twarzą czarną, opuchłą już od zgnilizny.

Okopy piechoty przeprowadzano bardzo często na skrajach lasów, gdzie pionierzy mieli pod ręką doskonały materiał w młodych zagajnikach. Bardzo często zostały one wycięte zupełnie. Smutny jest widok lasu takiego, gdzie młode drzewka pościnała siekiera pionierska, a wielkie rozłożyste konary pogruhotwały granaty, potrzebowały szrapnele i podziur-

rawiły kule karabinowe. Spotyka się w jego głębi budowle nigdy nie widziane, które na pierwszy rzut oka wywierają wrażenie jakiejś osady ukrytych w lesie pierwotnych mieszkańców. Pionierzy austriaccy i niemieccy budowali nieraz na początku kampanii prawdziwe mieszkania dla swoich oficerów i żołnierzy, kunsztowne szałas, obficie zbożem niemłóconem wyścielone, dachem z gałęzi pokryte i osłaniane matami kunsztownie plecionymi.

A dookoła tych pozycji na polach i w samych okopach pełno niewystrzelonych jeszcze naboży, ładownic, płaszczów żołnierskich, manierek, naczyń kuchennych, czapek, żółtych tornistrów, torb, łopat, siekier. Co kilka kroków leżą porzucone karabiny, bagnety, rewolwery, tu i owdzie pasy od karabinów maszynowych, worki konserw, nienaruszone jaszczyki artyleryjskie, pełne niewystrzelonych pocisków.

Jak w kalejdoskopie fantastycznym zmienia się to straszliwe widowisko.

Przy drogach, na skrajach lasów, na polach, wszędzie widać mogiły.

Małe, wykopane na prędce, z krzyżem, pośpiesznie skleconym albo wielkie kopce, w których grzebano poległych bez różnicy, przesypując tylko jedną warstwę ciał jedną warstwą wapna.

Często podczas zwiedzania okopów uderzy nagle nieznośny, słodki zapach zgnilizny.

W transzejach, okopach, tu i owdzie ziemią zasypanych, widać nogi w butach, albo kawałek szarego munduru.

Czasami znajduje się miejsca, zasiane listami, kartami korespondencyjnemi, notatkami, raportami wojskowymi, kopertami. Wydaje się jakby wiatr jesienny przyniósł w jedno miejsce te wszystkie żałosne pamiątki. Są tam listy pisane we wszystkich językach. Trudno odcyfrować te kartki, splótkane deszczem i pokryte błotem. Jedne z nich były przysłane od siostr, braci, żon, matek i przyjaciół; drugie pisano do nich. Często znajduje się listy, urwane w środku zdania, a obok nich leży czapka, pełna zakrzepłej krwi.

To znowu jesteśmy pośrodku pobojuwiska, które zdaje się ociekać jeszcze krwią świeżą.

Dokoła nas ciągną się w różnych kierunkach okopy, przecinają się transzeje, grodzą niemal na każdym kroku drogę trupy ludzkie i ścierwa końskie, wszędzie widać jeszcze zeszywniałe ciała zabitych żołnierzy w pozycji klęczącej lub stojącej, tak jakby teraz jeszcze gotowi byli do strzału i walki.

Dalej piętrzy się stos trupów ułożonych beładnie, z widocznym pośpiechem. Z pośród gma-

twaniny szarych płaszczów, mundurów krwią przesyconych, czapek, tornistrów i torb, pomiędzy stężaleni w żalonym bezruchu rękami i nogami jednych wyglądają straszne, potwornie zniekształcone twarze drugich. Są tu czaszki rozłupane zupełnie odłamkami granatów i szrapneli, są głowy z dziurami wielkości pięści, umazane mózgiem z krwią pomieszanym. Niekiedy widać płat kości ciemieniowej lub czołowej odłupany tak misternie, jakgdyby chodziło tylko o pokazanie ciekawemu widzowi konstrukcji zwojów mózgowych. Czasami twarz ze skóry odarta, napiętnowana jest już straszliwym uśmiechem kościotrupa o wyszczerzonych zębach i zapadłych oczodołach — uśmiechem, który zdaje się wypełzać powoli z tych ciał niepogrzebanych, jako widmo znikomości wszechrzeczy.

Straszliwe widowisko!

Może kiedy ruń świeża z wiosną szare, beznadziejne pola pokryje — może to wszystko jak widmo ponure przepadnie.

Tylko na mogiłach bujna trawa wyrośnie, a na tem miejscu, gdzie łopaty pionierskie i granaty się ryły, przez długie lata ziarno nie zejdzie. I las będzie się skarżył pociętymi pieńkami gibkich brzózek i pogruchotanymi konarami starych dębów.

STANISŁAW DZIKOWSKI.



OKOPY NIEMIECKIE W OKOLICY HELENOWA POD WARSZAWĄ.





ZASŁONY AUSTRYACKIE W LUBELSKIM POD STRZYŻEWICAMI.





BLINDAŻE AUSTRYACKIE W LUBELSKIM POD NIEDRZWICĄ.



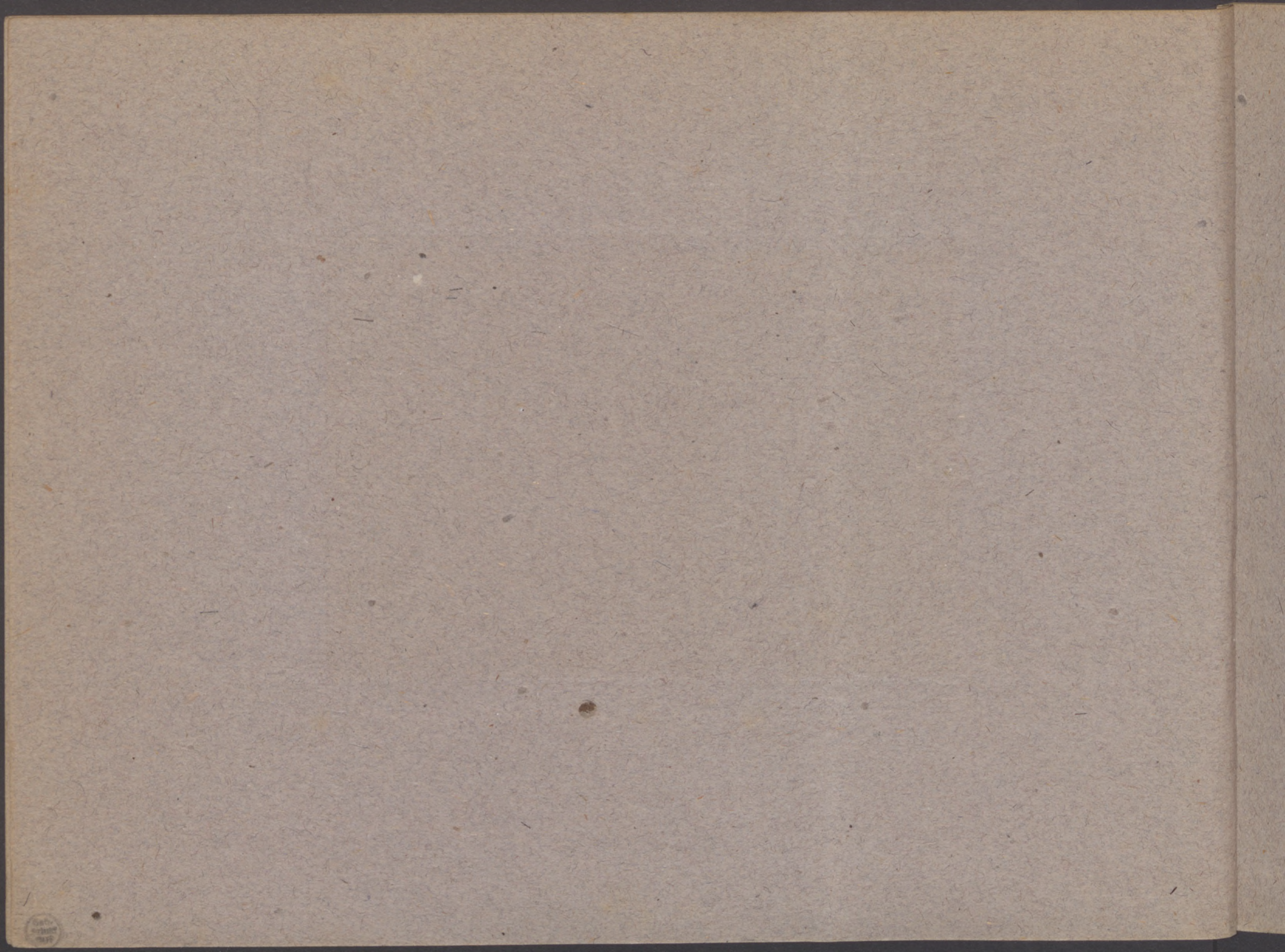
SZAŁAS OFICERA AUSTRYACKIEGO W NIEDRZWICY POD LUBLINEM.



NA DAWNEJ GRANICY AUSTRYACKO-ROSYJSKIEJ W OKOLICACH TOMASZOWA.



MOST NA SZOSIE MIĘDZY DRZEWICĄ A NOWEM MIASTEM.





MOST KOLEJOWY POD GRODZISKIEM.



STACJA KOLEJOWA W ŁOWICZU.



FRAGMENT STACJI KOLE-
JOWEJ W SKIERNIEWICACH.





DRZEWICA W ZIEMI RADOMSKIEJ.

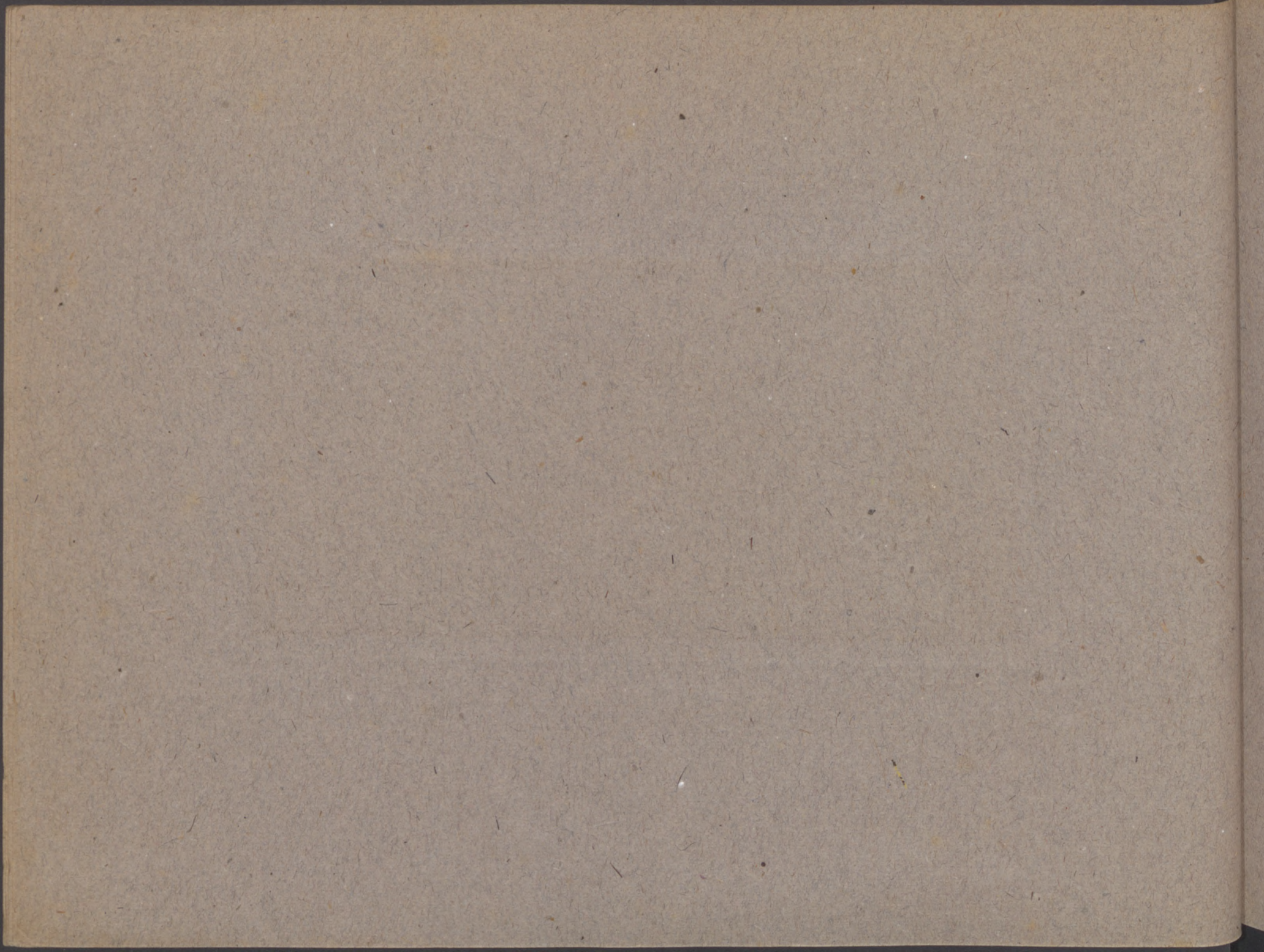


DRZEWICA W ZIEMI RADOMSKIEJ.





OGÓLNY WIDOK ROKITNA POD WARSZAWĄ.





PIASECZNO POD WARSZAWĄ.



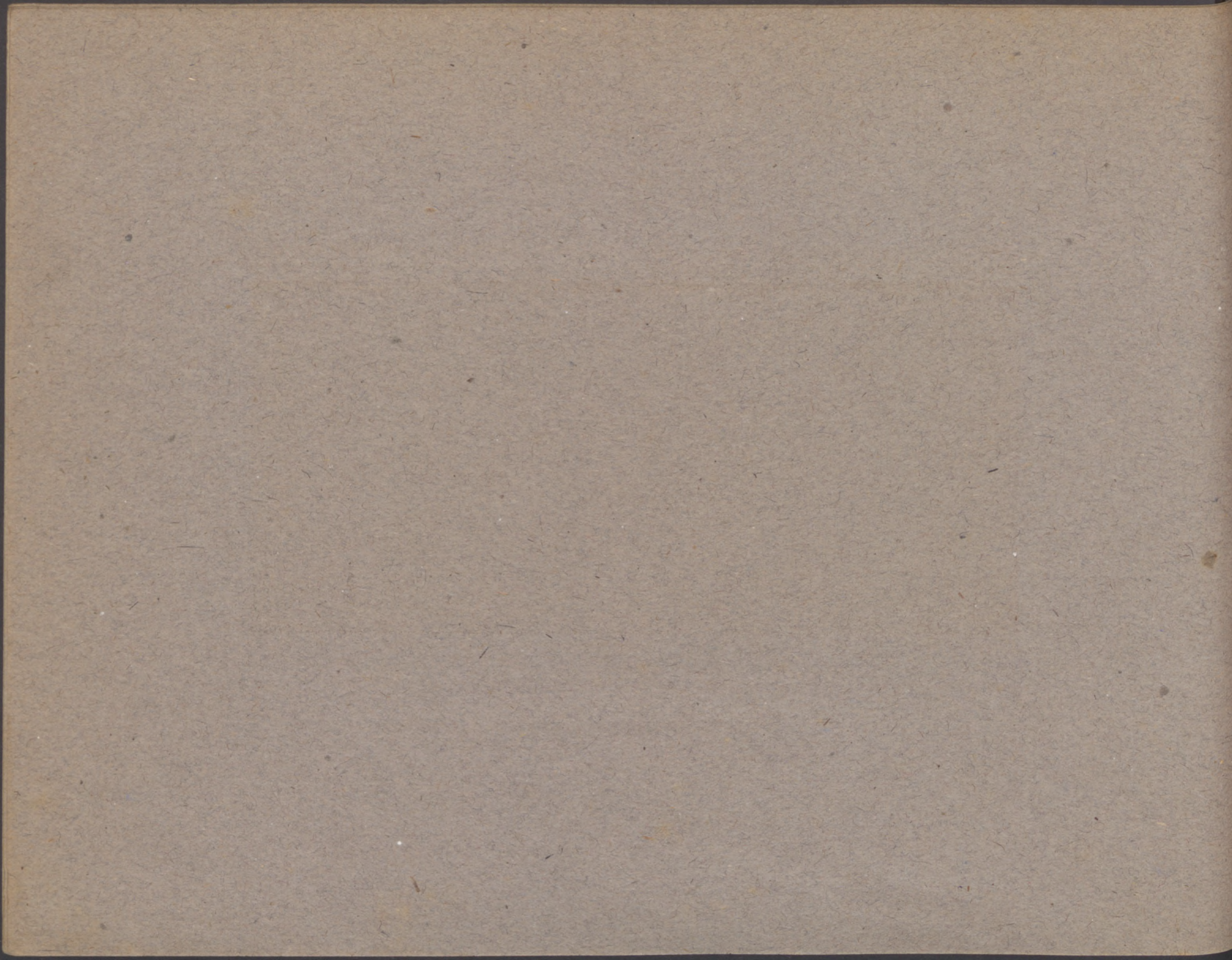


WIEŚ SOKOŁÓW POD ƔASZYNEM.





KRASNYSTAW, MIĄSTECZKO NA DRODZE MIĘDZY LUBLINEM A ZAMOŚCIEM.





ZAGRODA WŁOŚCIAŃSKA W KIELCZEWICACH GÓRNYCH (GUB. LUBELSKA)
SPALONA PRZEZ HONWEDÓW WĘGIERSKICH.



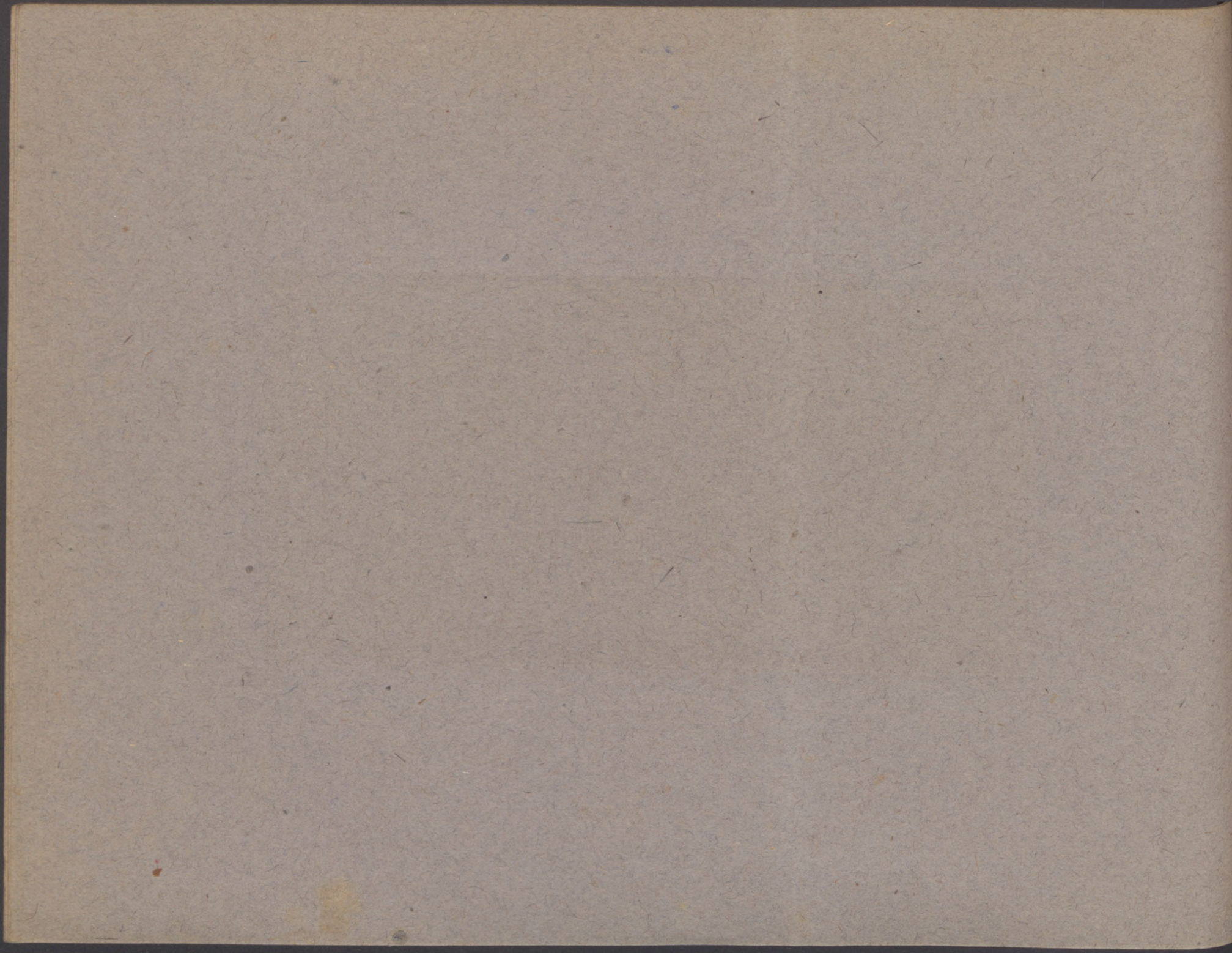


RUINY ZGIERZA POD ŁODZIĄ.





LEŚNICZÓWKA W LASACH SĘKOCIŃSKICH POD WARSZAWĄ.





DWÓR W PEŃCICACH WIELKICH, WŁASNOŚĆ P. MARYLSKIEGO-ŁUSZCZEWSKIEGO.





FRAGMENT DWORU W PĘCICACH WIELKICH POD WARSZAWĄ.





DWÓR W PĘCICACH MAŁYCH POD WARSZAWĄ.





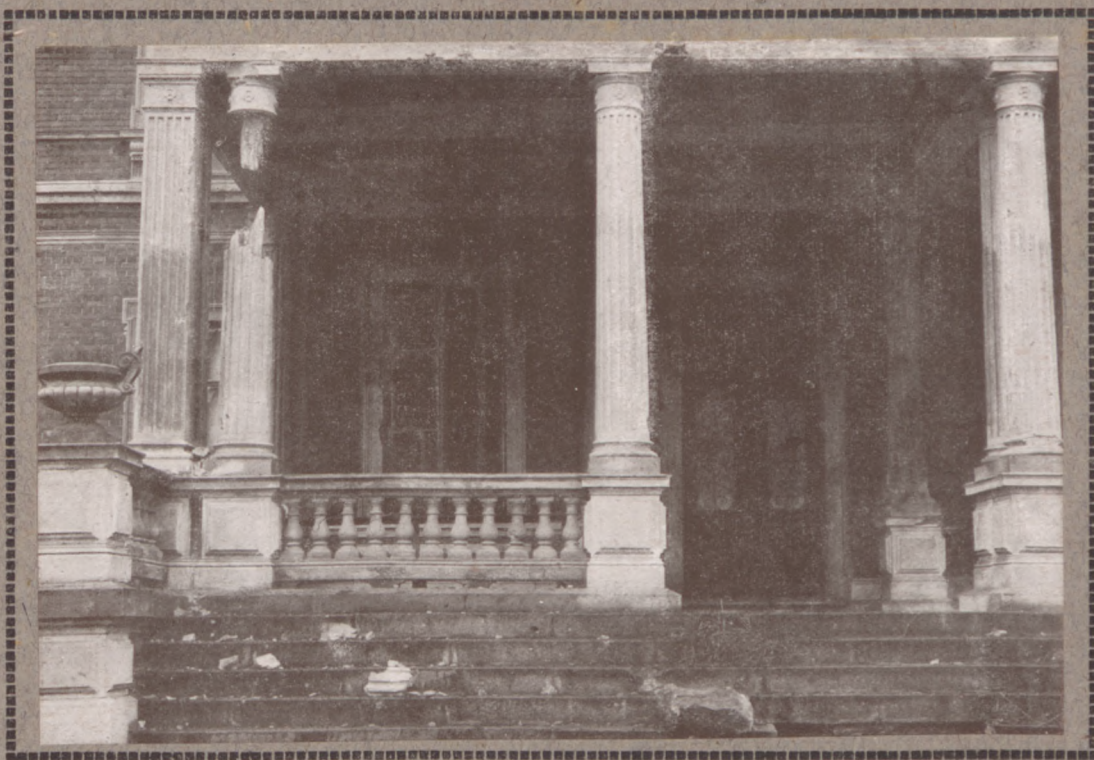
PAŁAC G. BŁAWDZIEWICZA W NOWEM MIĘSCIE NAD PILICĄ.





FRAGMENT PAŁACU G. BŁAWDZIEWICZA W NOWEM MIEŚCIE NAD PILICĄ.





FRAGMENT PAŁACU W POLICZNIIE (ZIEMIA RADOMSKA)
WŁASNOŚĆ STEFANA HR. PRZEŹDZIECKIEGO.





MIESZKANIE ADMINISTRATORA W POLICZNIE (ZIEMIA RADOMSKA)
WŁASNOŚĆ STEFANA HR. PRZEŹDZIECKIEGO.





WNĘTRZE PAŁACU W FALENTACH POD RASZYNEM.
WŁASNOŚĆ SEWERYNA KS. CZETWERTYŃSKIEGO.





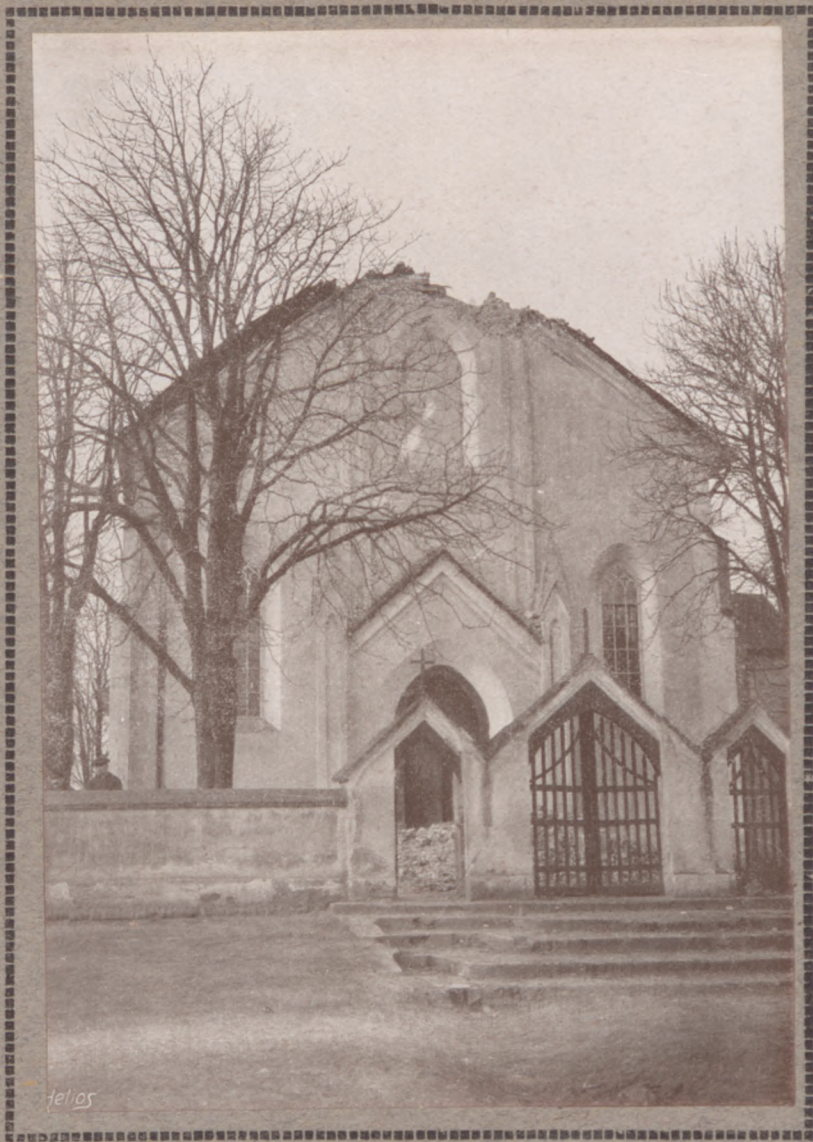
WNĘTRZE DOMU NA ULICY
CHŁODNEJ W WARSZAWIE,
GDZIE SPADŁA BOMBA
RZUCONA Z AEROPLANU
NIEMIECKIEGO.



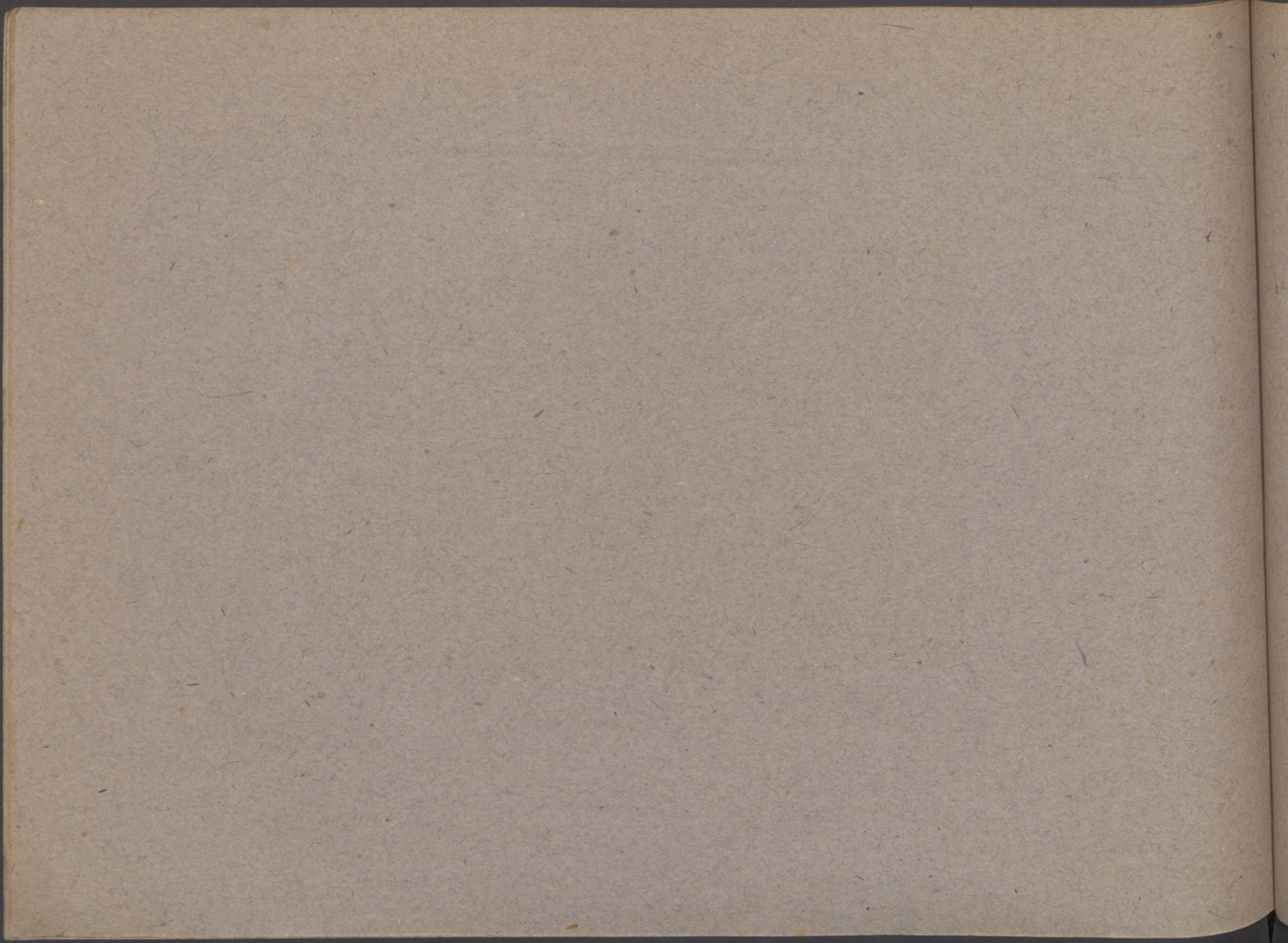


FRAGMENT KOŚCIOŁA O. O.
KAPUCYNÓW W NOWEM
MIEŚCIE NAD PILICĄ.



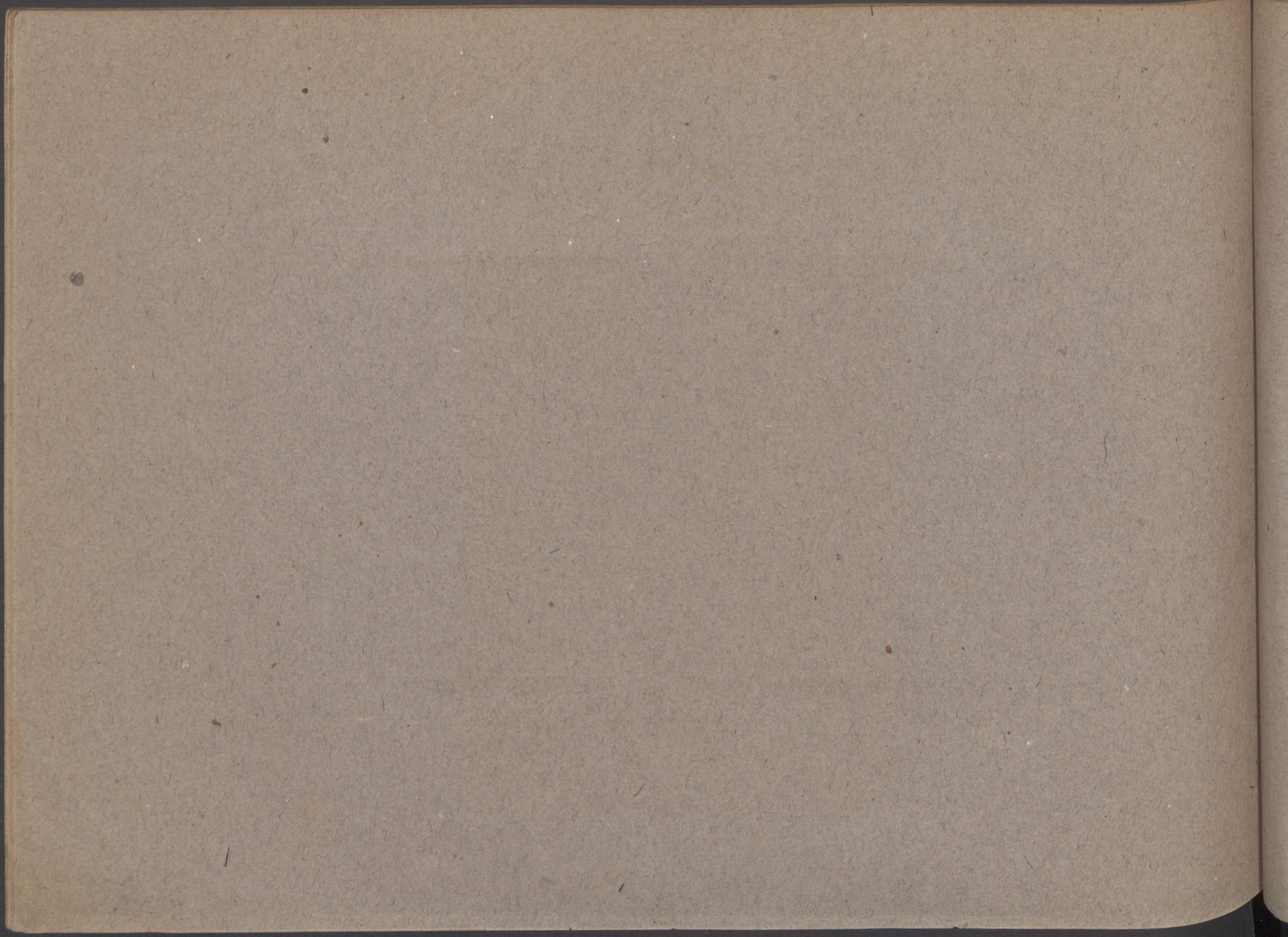


KOŚCIÓŁ W CIELĄDZU
(ZIEMIA RAWSKA).





KOŚCIÓŁ W ROKIETNIE POD WARSZAWĄ.



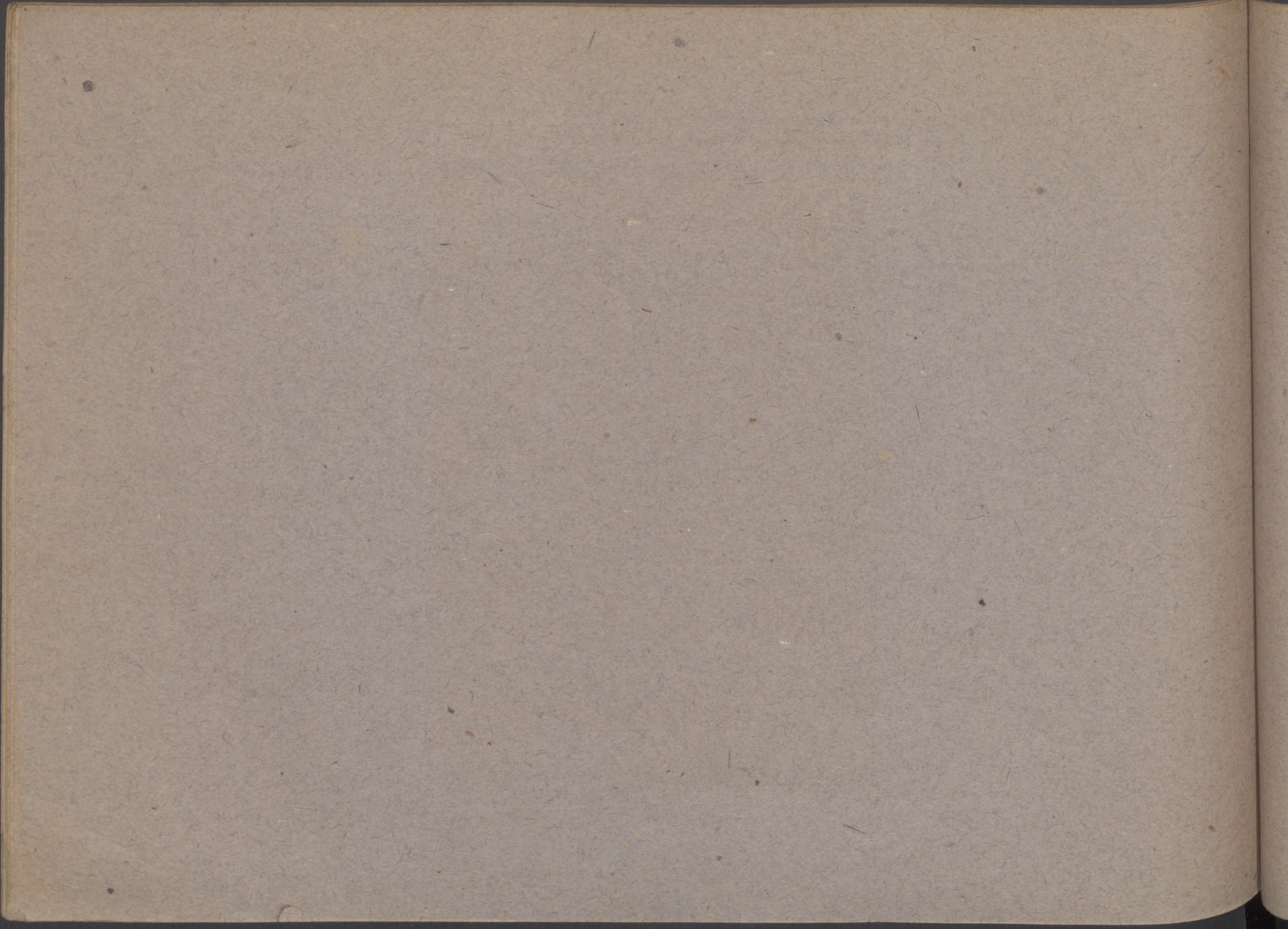


WNĘTRZE KOŚCIOŁA W RO-
KITNIE POD WARSZAWĄ.





WNĘTRZE KOŚCIOŁA W RO-
KITNIE POD WARSZAWĄ.



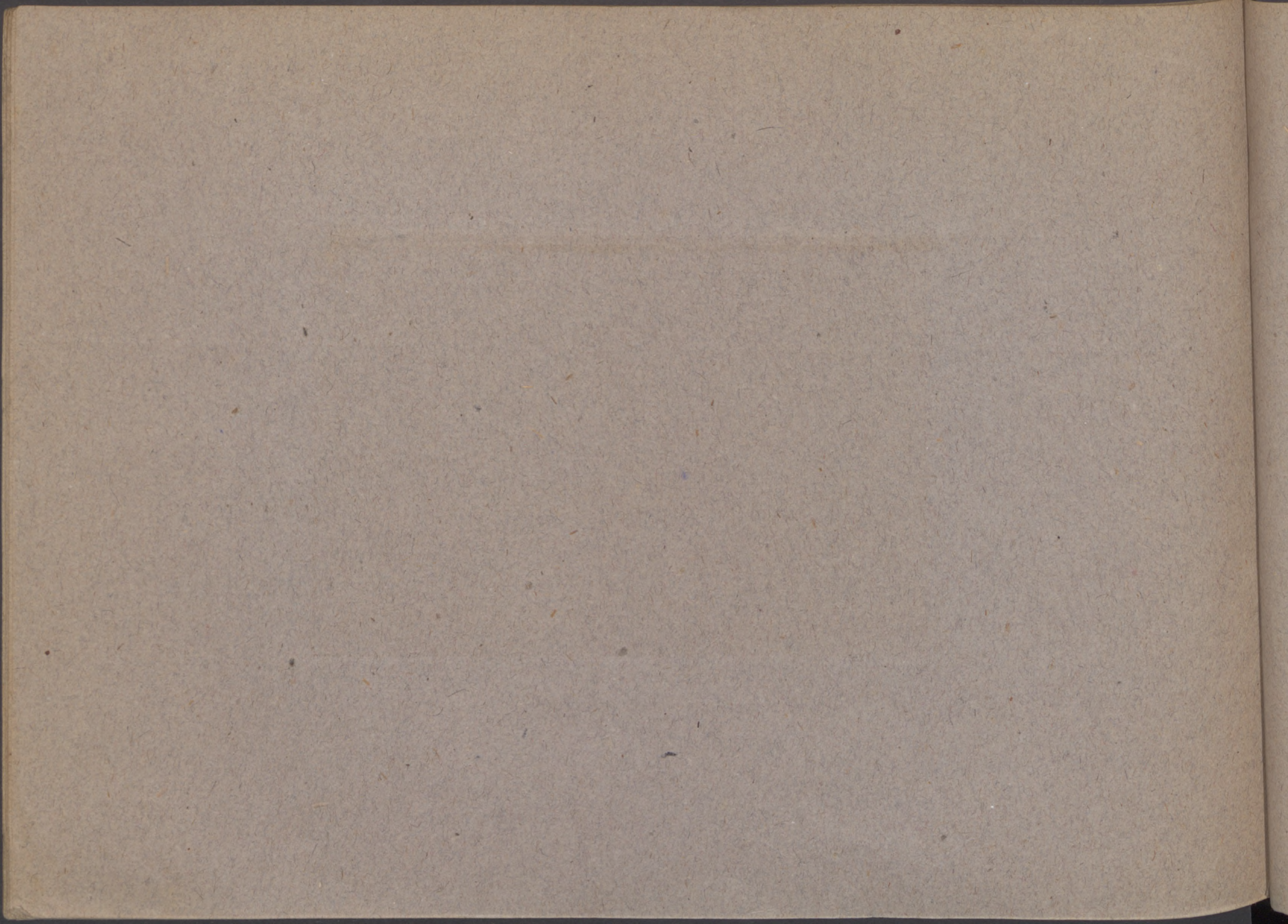


FRAGMENT KOŚCIOŁA
W ROKITNIE POD WAR-
SZAWĄ.



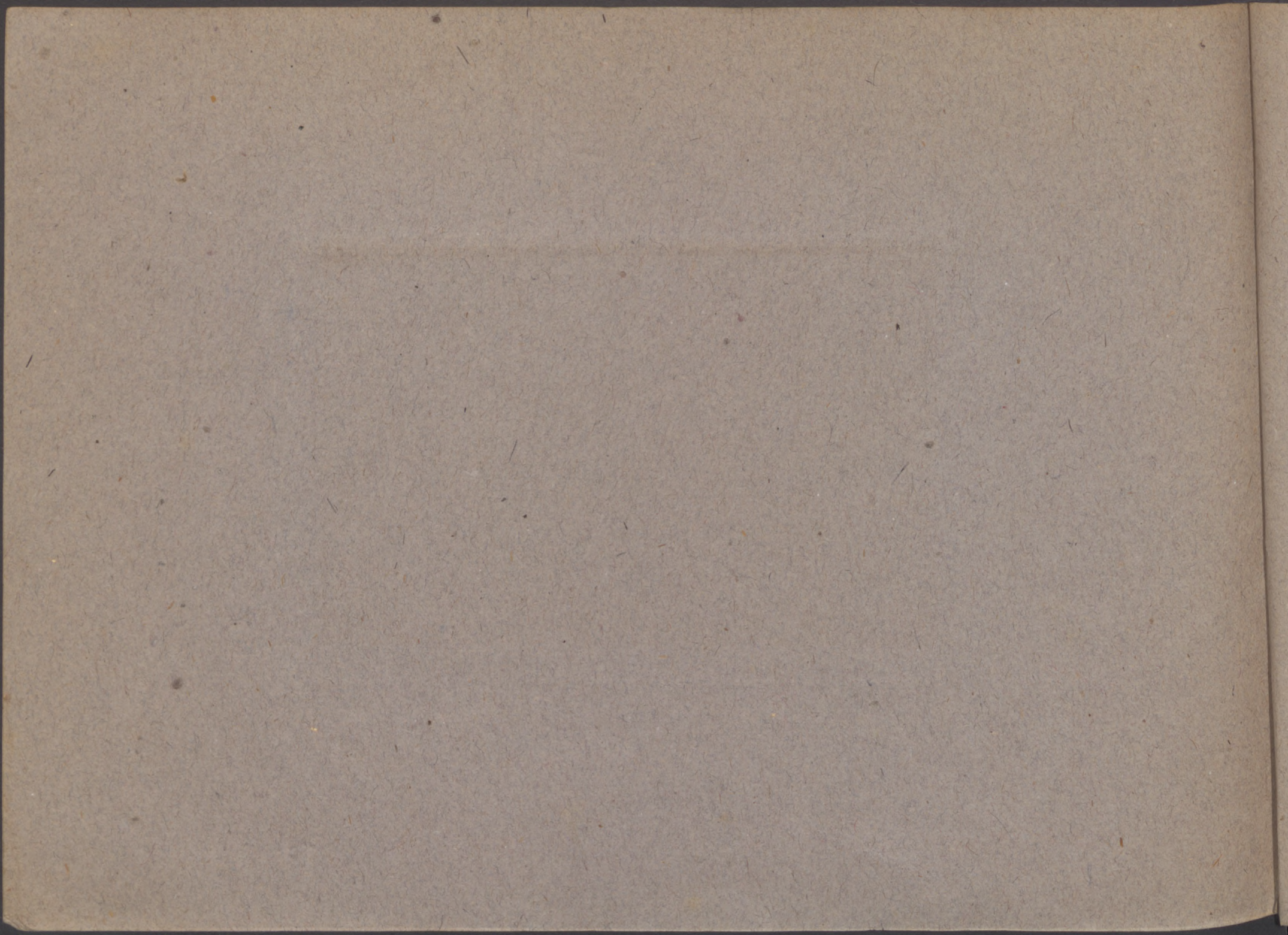


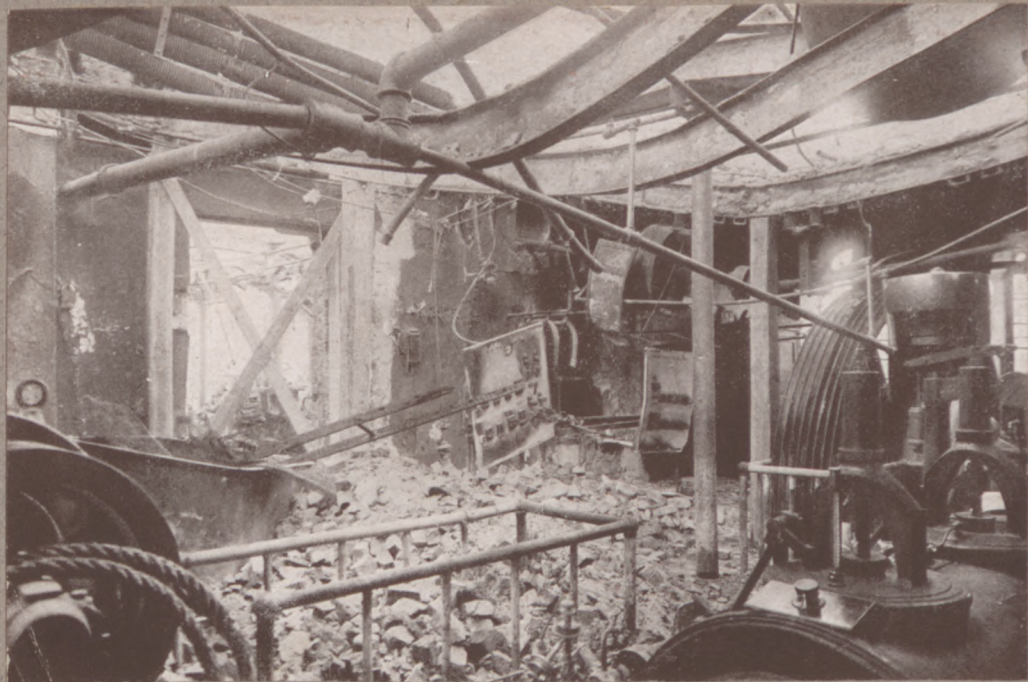
KOŚCIÓŁ W RASZYŃNIE POD WARSZAWĄ.





WNĘTRZE FABRYKI OŁÓWKÓW MAJEWSKIEGO W PRUSZKOWIE.





WNĘTRZE FABRYKI OŁÓWKÓW MAJEWSKIEGO W PRUSZKOWIE.



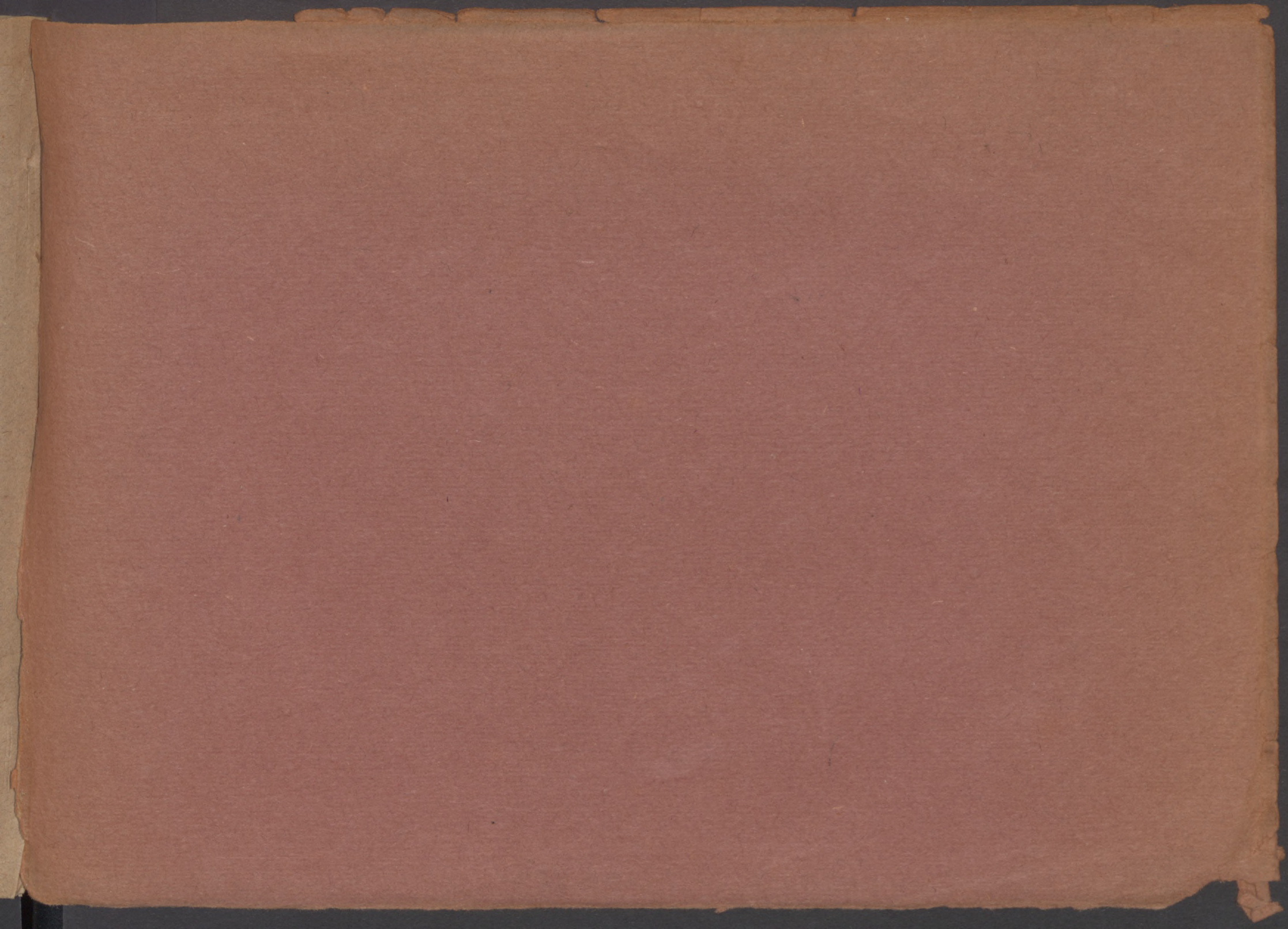


MOGIŁY ŻOŁNIERSKIE W LESIE SĘKOCIŃSKIM POD WARSZAWĄ.



MOGIŁY ŻOŁNIERSKIE POD ŁOWICZEM.

K. 83/54



Zbiory Graficzne

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

H. 324

CENA ZESZYTU 1 RB. 80 KOP.